

135282

I

(E2)
SL



M. Janoszanka

ŚW. JACEK ODROWĄŻ

Od wydawnictwa.

Mamy wprawdzie wielu katolików praktykujących, katolików przekonanych wewnętrznie o wzniosłości zasad Kościoła katolickiego, lecz większość z pośród nich katolicyzm swój ogranicza do własnej swej duszy, boi się wystąpić z nim publicznie, brak im odwagi apostołskiej, za mało w nich Ducha, który apostołów Chrystusowych i pierwszych chrześcijan wiódł do czynu. Gnuśność katolicka i obojętność na to, co dzieje się obok nas, winna ustąpić odwadze płynącej z wielkiej miłości Bożej. Z umiłowania Bożego bowiem rodzi się zapal apostołski, duch ofiarny i gotowość do walki dla umiłowanej sprawy.

Gdzie szukać wzorów apostołstwa Bożego?

Śląsk w dawnych wiekach, Śląsk „święty“, jak pierwszy z pośród dzielnic polskich wszedł w orbitę wpływów nauki Chrystusowej, tak też pierwszy zaczął promieniować duchem Bożym. Z ziemi śląskiej wyrósł szereg wielkich postaci, szermierzy prawdy Chrystusowej — św. Jacek, wielki apostoł i cudotwórca rozpoczyna ten szereg — warto ich poznać, ukochać i naśladować. Za mało znamy jeszcze tę nową krainę, Śląsk „święty“, który trzeba dopiero odkrywać, w należyte światło postawić. Ukochać zaś będzie nie trudno, bo to nasze i swojskie, a przytem święte i wielkie, bo każdy z owych bojowników Bożych, choć w odmienny sposób, kształtował siebie i innych na wzór Boży. — apostołował, szerzył Królestwo Boże w duszach.

Ks. Siemienik.

Śląsk święty

Nr. 1.

Św. Jacek Odrowąż

KS. WŁADYSŁAW STAICH

ŚW. JACEK

PIERWSZY ŚLĄZAK W CHWALE
BŁOGOSŁAWIONYCH

1 9 3 4

Księgarnia i Drukarnia Katolicka Sp. Akc.
Katowice, ul. Marsz. Piłsudskiego nr. 58

3477/
57

#SL 10c

135282
I

V. J 199/34

NIL OBSTAT

(—) Ks. Msgr. Maśliński
censor ex offio

IMPRIMATUR

(—) Ks Kasperlik
Wikariusz Generalny

Katowice, 18. IV. 1934 r.

Emanuel Kleinert
K-cc. Opolska 5.
18. 6. 57.

2, - 25

(82)



Śląsk święty

Ziemia dawnych Ślęzan, zamieszkujących górne i dolne porzecze Odry, bywa nazywana „Śląskiem świętym“. Jestto nazwa zupełnie słuszna. Żadna bowiem z dziedzin pierwotnej Polski nie piastowała na łonie swoim tylu Świętych, ilu piastowała ziemia śląska.

Na śląskiej ziemi „świętość“ krzewiła się od czasów najdawniejszych. Początków urostu świętości należy tutaj szukać jeszcze niemal w drugiej połowie IX wieku, czyli wtedy, kiedy cała Polska, razem ze swoimi władcykami, osiadłymi w Kruświcy, była jeszcze długo pogańską. Wiadomo bowiem, że ziemia Ślęzan, jakoteż ziemia Wiślan, podbite ongiś przez książąt wielkomorawskich, należały do krajów, w których apostołował św. Metody, zwany tutaj Strachotą, i że Ślężanie, oraz Wiślanie byli ochrzczeni z poręki tego świętego apostoła Słowian jeszcze około r. 880. Już wtedy zatem nawiedziła ziemię śląską łaska Boża, która jest matką świętości.

Właściwa atoli świętość, w postaci ludzi, uświęconych łaską, oraz jaśniejących bohaterską cnotą, zjawia się na ziemi śląskiej w ośmdziesiąt kilka lat później. Wówczas bowiem przeciąga przez śląską dziedzinę „chrzestna macierz“ Polski, bogobojna księżna Dubrawka, przyszła małżonka Mieszka I, której potomność przyznała chlubne miano „świętobliwej“. W trzy lata później ciągnie tędy pierwszy przedstawiciel apostołującej Polski, idący „szukać Chrystusa w śmierci“ pośród pogańskich Prusów, a mianowicie św. Wojciech, którego pamięć związane z powstaniem kościołów w Cieszynie, Bytomiu, oraz Opolu. Rychło potem podąża za nim jego serdeczny przyjaciel, równie „Chrystusa w śmierci szukający“ i ginący w imię apostołującej Polski, św. Bruno Saksończyk.

Niemal bezpośrednio za nimi ściągają na ziemię śląską dwaj małopolscy pustelnicy, św. Jędrzej, zwany Wszeradem, i św. Benedykt, którzy przenosząc się z miejsca na miejsce dolinami Dunajca, Popradu, Wagu i Odry, osiadają czasowo nad rzeczką Olawą, kędy potomność uczciła ich pamięć wzniesieniem kapliczki, zburzonej przez husytów r. 1448. Niewątpliwie nawiedzał ziemię śląską także św. Stanisław, biskup krakowski, którego owczarnia obejmowała okręgi cieszyński i bytomski. W samym

sercu Śląska, nad rzeką Ślężą, około góry zwanej ongiś Śląską, a później Sobótką, miał rodowe dziedzictwo mąż wielkiej świątobliwości, który zbudował i wyposażył siedmdziesiąt siedm kościołów, Piotr Włastowicz, zwany także Duninem, a przez ludność śląską mianem „błogosławionego“ uczczony.

Najdostojniejszy jednak zastęp Świętych zjawia się na śląskiej ziemi w wieku XIII. Wtedy bowiem jaśniejse pełnią cnót zrazu na książęcym stolcu we Wrocławiu, a później w zaciszu klasztoru Cystersek w Trzebnicy św. Jadwiga, małżonka bogobojnego księcia Henryka Brodatego i matka bohaterskiego syna, również Henryka, który za Wiarę i Ojczyznę żywot poświęcił. Obok świętej świekry celuje równie wielką doskonałością jej bogobojna synowa, wdowa po poległym Henryku, księżniczka Anna, siostra trzeciego zakonu franciszkańskiego, także za świętą uważana. Współcześnie ze świętymi księżniczkami działa na Śląsku wielce świątobliwy i za „błogosławionego“ uważany, a węzłami krwi ze śląskimi Odrowążami związany, krakowski biskup Iwo, czcigodny stryjec i wychowawca największego Świętego Ślązaka, św. Jacka Odrowąża. Wychowany w szkole wysokiej bogobojności stryja św. Jacek, wielki chorąży apostołującej Polski, żarem swojej

świętości porywa za sobą cały szereg osób, a mianowicie: stryjeczną siostrę bł. Bronisławę Odrowążównę, również rodowitą Ślązaczkę, okrywającą chwałą swego ubłogosławienia zgromadzenie krakowskich Norbertanek, — następnie swego towarzysza zakonnego, bł. Czesława, długoletniego apostoła Śląska i cudownego obrońcę Wrocławia, — dalej, także swego towarzysza, nazywanego „błogosławionym“, Henryka Morawczyka, słynącego świętością w Opolu, — oraz bliskiego krewniaka, pasterza krakowskiej owczarni, ze Śląskiem związanego węzłami krwi i paśterzowania, biskupa Prędotę Odrowąża, głośnego pośmiertnie mi cudy, dla których nazwano go „błogosławionym“.

Wyniesiona wysoko przez św. Jadwigę i św. Jacka świętość krzewi się dalej na śląskiej ziemi, wydając długi szereg osób, pospolicie nazywanych znowu „błogosławionymi“, pomimo, że Kościół święty owego „ubłogosławienia“ nie zatwierdzał. Między tymi „błogosławionymi“ wybija się w wieku XIV postać czcigodnego pasterza wrocławskiej owczarni, rodaka św. Jacka z Kamienia, biskupa Okszy Nankiera, który boso obchodząc kościoły w Nyssie w dzień wielkopiątkowy, nagle ziemskie życie zakończył. Niemal współcześnie za świętobli-

wym pasterzem jaśnieją doskonałością u wrocławskich Dominikanów „błogosławieni“ Jan i Konrad, u nysseńskich „błogosławiony“ Dominik, a między raciborskimi Dominikankami „błogosławiona“ Eufemja, pospolicie zwana Ofką, córka raciborskiego księcia Przemysła-wa, która po śmierci zasłynąć miała u swego grobu cudownem dawaniem znaków, ilekroć śląską ziemię miało spotkać jakieś nieszczęście. Ponieważ zaś, gwoili darowizny Kazimierza Sprawiedliwego, chcącego pozyskać sobie raciborskiego księcia Mieszka, kawał dawnej ziemi krakowskiej z grodami Bytomiem, Oświęcimem, Zatorem i Siewierzem, przypadł dziedzi-nie śląskiej, przeto między „śląskich Świętych“ wchodzi dalej św. Jan, rodem Kęczanin, mistrz krakowskiej wszechnicy i perła polskiego duchowieństwa, — jego rodaczka z Kęt „błogo-sławiona“ Ludmiła, świątobliwa siostra trzeciego zakonu franciszkańskiego, spoczywająca w Rzymie, — a następnie „błogosławione“ siostry zakonu drugiego Jadwiga ze Zatora i Martyna z Oświęcimia, umęczone w Zawicho-ście czasu nawały tatarskiej, — a w końcu świątobliwi bracia zakonu pierwszego, „błogo-sławieni“ Aleksy, Michał, Gabriel, Jan, Aleksander i t. d.

Z pośród tego licznego „pospółstwa Świętych“ śląskich wybijają się w dalszym postępie czasu dwie wielkie postacie męczenników, rodowitych Ślązaków, a mianowicie błóg. Melchiora Grodzieckiego, kapłana Towarzystwa Jezusowego, pochodzącego z Cieszyna, a zamordowanego przez węgierskich kalwinistów w Koszycach r. 1618, oraz błóg. Jana Sarkandra, proboszcza czeskiego Holeszowa, pochodzącego ze Skoczowa, a zamordowanego przez husytów w Ołomuńcu r. 1620. Obaj męczennicy, ubłogosławieni przez Kościół, są niestety w rzędzie Świętych Ślązaków ostatni. Aczkolwiek bowiem zjawiają się jeszcze później dusze świątobliwe, to jednakowoż niema między nimi postaci więcej wybitnych. Ziemia śląska, oderwana od polskiej Macierzy i zawojowana przez niemieckich luteranów, straciła na długo żywszą łączność z Krakowem, gdzie spoczęły śmiertelne szczątki jej najlepszego syna i wodza Świętych, Jacka Odrowąża. Skoro atoli przyszła godzina przynajmniej częściowego wyzwolenia i powrotu oderwanej ziemi do prawej Macierzy, godzi dawną łączność ożywić i w duszach rodaków Świętego ogień świętości znowu rozpalić, ku czemu najlepiej posłuży poznanie dziejów jego chwalebnego życia.

Pochodzenie i młodość Jacka Odrowąża

Św. Jacek pochodził ze starego rodu Odrowążów, których znakiem herbowym była strzała w łuku i którzy mieli przybyć do Polski z Moraw, co poniekąd stwierdza sama nazwa „Odrowąż“, zapewne przybrana od nazwy rzeki Odry, oraz „węzi“, czyli jaru, jakich wiele ta rzeka w swoim górnym biegu przepływa. Osiedli od niepamiętnych czasów w Polsce Odrowążowie rozrośli się szeroko, a w czasach św. Jacka mieli już liczne gniazda odrębne, wedle których pisali się „Odrowążami z Końskich“, „z Białaczowa“, „z Chlewisk“ i t. p. Św. Jacek pochodził z rodziny, która osiadła rycerski gródek zwany ongiś Łanką, a położony na Śląsku Opolskim i włączony później do przyległej majątności Kamień Wielki. Jeszcze po dziś dzień zachowała się na zamku w Kamieniu komnatka, przemieniona na kaplicę, w której miał się urodzić św. Jacek, a do której od niepamiętnych czasów tłumnie pielgrzymują Ślązacy, na każdą doroczną uroczystość Świętego, przypadającą 16 sierpnia.

Niestety jednak! Kamienie mówić nie mogą. A one jedne tylko pozostały jako nieme świadki młodocianych przeżyć tego chłopięcia, które pośród nich ujrzałoienne światło i które pośród nich zaprawiało się do życia wielkiego Apostoła i wielkiego Świętego. Innych bowiem świadectw, dotyczących tego pierwszego okresu życia Świętego zupełnie niema. Ze skąpych zapisków współczesnych, dotyczących zresztą tylko pośrednio jego osoby, można wywnioskować jeno tyle, że Jacek urodził się r. 1183 i że jako kilkunastoletni młodzian opuścił dom rodzicielski, udając się do Krakowa, gdzie jego dalszem wychowaniem kierował brat ojca, ks. Iwo Odrowąż, kanonik katedralny, kanclerz książęcy, a w końcu biskup krakowski.

Późniejsi żywotopisarze Świętego podają, że ojciec św. Jacka nazywał się Eustachy, czyli jak wówczas mówiono Ostafiej, a matka Beata, czyli Bożenna i że Jacek miał brata, imieniem Jakóba, ożenionego z niejaką Przybysławą, którą Święty, już jako zakonnik, prawie umarłą, cudownie do życia przywrócił. Jeszcze późniejsze podania, mówiące jakoby bł. Czesław był rodzonym bratem św. Jacka, okazały się błędne, a powstały skutkiem fałszywego pojmowania wyrażenia łacińskiego „familia“, którem to wyrażeniem w wiekach średnich i starożytnych

oznaczano „otoczenie“, a nie najbliższą rodzinę danej osoby.

Tą osobą, do której „familji“, czyli otoczenia, zaliczał się później bł. Czesław, towarzysz i współbrat św. Jacka, był biskup Iwo, stryj Świętego. Biskup Iwo, rodzony brat pana Ostafieja z Łanki, ojca św. Jacka, był synem Szawła Odrowąża z Końskich. Poświęciwszy się stanowi duchownemu, spełniał ks. Iwo obowiązki kapłana przy katedrze krakowskiej. Świątobliwy Iwo wezwał bratanka Jacka po swoim powrocie z zagranicy, co mogło nastąpić około roku 1200. Jacek, dojrzewający nately młodzieniec, powolny życzeniom dobrego stryja i czujący w sobie wyraźne „wołanie Boże“, przybywszy do Krakowa, ochoczo poczał się sposobić do służby Bożej i pilnie przyłożył się do nauki, którą pobierał w krakowskiej szkole katedralnej. Oprócz rzeczy pierwiastkowych uczono tutaj nadto jeszcze gramatyki, retoryki, etyki i t. p. przedmiotów, potrzebnych przyszłym kapłanom. Wymownym pomnikiem ówczesnego sposobu nauczania w krakowskiej szkole katedralnej jest księga „Dziejów Polski“, napisana przez błog. Kadłubka (dawnego mistrza tejże szkoły), na życzenie Kazimierza Sprawiedliwego, a mająca na celu „przedstawienie potomnym zacności przodków“.

Dzięki takiemu nastawieniu rzeczy dzieło błog. Wincentego Kadłubka było księgą bardzo poczytną, której wieki średnie używały jako podręcznika szkolnego nie tylko do nauczania samej historii, ale także do nauczania etyki, czyli obyczajności chrześcijańskiej, retoryki, czyli wymowy i stylistyki, czyli sposobu pięknego wyrażania myśli. Na tym podręczniku, który słusznie nazwano „prawdziwym spichrzem średniowiecznej uczoneści“, kształciły się liczne pokolenia dawnych „scholarów“, z pośród których wychodzili wielcy uczeni, bohaterowie i święci, oddający wszystkie trudy swego górnego życia Ojczyźnie i Bogu.

Dzieło błog. Wincentego, wykończone dopiero w zaciszu jędrzejowskiego klasztoru było niewątpliwie „pokłosiem“ tego, co święty biskup, jeszcze jako mistrz krakowskiej szkoły katedralnej swoim uczniom wykładał. A było to prawie wtedy, kiedy św. Jacek do Krakowa przybył i kiedy ks. Iwo, marzący o najlepszym pokierowaniu krokami bratanka na drogę Chrystusowego kapłaństwa młodego Jacka wychowaniu krakowskiej szkoły powierzał. Stało się przeto zadość życzeniom świątobliwego stryja. Jacek został wychowankiem Wincentego. Święty uczeń kształcił się w szkole świętego mistrza.

Zagraniczne wykształcenie i kapłaństwo Jacka

Po ukończeniu krakowskiej szkoły katedralnej młody Jacek Odrowąż był już należycie przygotowanym do przyjęcia święceń kapłańskich. Ks. Iwo atoli, sam wielki miłośnik nauki, widząc w Jacku wielkie zdolności, postanowił wysłać go jeszcze na dalsze kształcenie do szkół zagranicznych. Te postanowienia Ks. Iwona kierowały się oczywiście do tych uczelni, których sam wypróbował i z których wyniósł najmiłsze wspomnienia, a mianowicie do uczelni paryskich. Tam bowiem najwyżej stały nauki teologiczne, do których Jacek okazywał szczególne umiłowanie i tam zbierał się „kwiat młodzieży“ ówczesnego świata, której koleżeństwo młodemu Odrowążowi snadnie kiedyś przydać się mogło, jak samemu ks. Iwonowi przydało się koleżeństwo papieża Grzegorza IX, stamtąd właśnie wyniesione.

Prawie nately jednak ks. Iwo zamianowany został przez księcia Leszka Białego kanclerzem

państwa. Skoro wyniesiono go na taki odpowiedzialny urząd, musiał ku temu posiadać potrzebne uzdolnienia. Ks. Iwo atoli, człowiek wielce sumienny i dokładny, mimo wysokiego wykształcenia teologicznego, potrzebnego kapłanowi, zapragnął osiąść wyższe wykształcenie prawnicze, wielce znowu przydatne kanclerzowi państwa. Nie zważając przeto na swoje podeszłe lata, wybrał się do słynnej szkoły prawniczej w Bononji, a raczej Vincenzy, dokąd owa szkoła nately była przeniesiona, celem dalszego kształcenia się w prawie, co nastąpiło pod koniec 1207 r.

Po paru latach wspólnego „kolegowania“ bratanka i stryja powrócili obaj Odrowążowie do Krakowa, gdzie tymczasem zaszły pewne zmiany, albowiem zmarł był biskup Pełka, a na osieroconej stolicy zasiadł dawny mistrz krakowskiej szkoły, bł. Wincenty Kadłubek. Świętobliwy i światły biskup z radością witał powracających Odrowążów, ze strony których, jako ludzi wykształconych i bogobojnych, spodziewał się wiele, zarówno dla dobra Kościoła, jakoteż Ojczyzny, znajdującej się wtedy w położeniu ciężkiem, skutkiem prawie nieustannych wojen, oraz wewnętrznych wstrząsów, powodowanych zawiścią skłóconych między sobą książy, wielmożów i mieszczan, spierających się

między sobą nietylko o sprawy własne, ale godzących także w sprawy Kościoła i jego urządzeń.

Ks. Iwo, wyniesiony natedy do godności kanonika kapituły krakowskiej, oraz piastujący nadal odpowiedzialny urząd kanclerza państwa, mógł zbożnym zamiarom świątobliwego biskupa pomóc istotnie wiele. Niemniej obiecywał Jacek, dobiegający wówczas trzydziestego roku życia. Jako potomek możnego rodu, spokrewniony z pierwszymi wielmożami kraju, wychowany w szkole bogobojnego stryja, gotowego zawsze do wszelkich poświęceń i ofiar względem Kościoła i państwa, oraz posiadający wyższe wykształcenie. bardzo rzadko między ówczesnem społeczeństwem spotykane, przedstawiał w swojej osobie bardzo pożądany nabytek do zasilenia zastępu duchownych w krakowskiej owczarni.

Jacek atoli, mimo ukończenia wyższej szkoły, odpowiedniego wieku, oraz dostatecznego przygotowania wewnętrznego nie był jeszcze kapłanem. I ta właśnie sprawa była obecnie główną troską pieczołowitego stryja, ks. Iwona, którego najgorętszem życzeniem było widzieć ukochanego bratanka przy ołtarzu Pańskim. Zwrócił się przeto do biskupa Wincentego z prośbą o łaskę udzielenia święceń Jackowi. Biskup

Wincenty przyjął prośbę z wielką radością, a czyniąc zadość życzeniu ks. Iwona i przekazując Jackowi w sakramencie kapłaństwa władzę sprawowania tajemnic Chrystusowych, czynił to z niezwykłym przejęciem, oraz głębokim wzruszeniem, albowiem niewątpliwie, jako Święty, przeczuwał w młodym lewicie równie Świętego...

Po otrzymaniu święceń kapłańskich pozostał Jacek dalej u boku stryja. Biskup Wincenty, widząc w nowowyświęconym kapłanie wielką gorliwość i niezwykle uzdolnienia, zatrzymał Jacka przy swojej katedrze i wkrótce posunął go na godność kanonika. Młody kanonik, który w kilka lat później wstąpił do zakonu kaznodziejskiego i który całą resztę życia spędził na apostołstwie słowa Bożego, przyjmując ową godność, jako główny przedmiot działalności obrał sobie niezawodnie kaznodziejstwo. Wprawdzie dawne zapiski, podnoszące wielkie uzdolnienia i owocną pracę kaznodziejską ks. Iwona, o kaznodziejstwie ks. Jacka milczą, jak milczą wogóle o jego osobie, jednakowoż śmiało twierdzić można, że kazania młodego kapłana porywać musiały cały Kraków, rzadko jeszcze nately słyszający wymowne słowo Boże w brzmieniu rodzimem.

Na stanowisku kanonika i kaznodzieji katedralnego spędził św. Jacek lat kilka, poczem wyjechał znowu na dalsze nauki za granicę, a mianowicie do Paryża, wedle dawnych postanowień ks. Iwona. Pojechał jednakowoż znowu ze stryjem. Tak bowiem wynika z przekazu opata paryskich Norbertanów, O. Gerwazego z Cichester, który w jednym liście pisze, że około roku 1217 bawił ks. Iwo w Paryżu w szkołach.

Nie trzeba chyba znowu dodawać, z jakim zapalem, wdzięczny zabiegom dobrego dobrego stryja ks. Jacek owe nauki podejmował. Zdobywanie każdej wiedzy bowiem, a tem więcej jeszcze wiedzy, dotyczącej bezpośrednio znajomości spraw Bożych, zbliża człowieka do Boga, a zbliża tem znacznie, im wyżej owa wiedza sięga. Gwoli temu wszyscy ludzie prawdziwie święci zawsze skwapliwie korzystali z każdej nauki. Każda bowiem wiadomość, wyjaśniająca tajniki życia, czy to doczesnego, czy też wiecznego dawała im bliższe poznanie Boga, jako pierwszej i ostatecznej przyczyny wszech rzeczy i budziła w nich ową „świętą bojaźń“, o której Mędrzec Pański prawi, że „jest początkiem wszelakiej mądrości“. (Przysłow. 1, 7.) I ta właśnie „bojaźń Pańska“ była właściwym przedmiotem owej troski, dla której ks. Iwo nie

tylko towarzyszył Jackowi w jego podróży, ale razem z nim w Paryżu pozostał. Może jednak nie tyle chodziło mu tutaj o samo tylko zasadnicze zachowanie owej „bojaźni Pańskiej” w sercu bratanka, czyli uchronienie Jacka przed niebezpieczeństwem grzechu, ile raczej o jej pomnożenie. Jacek bowiem, liczący natedy lat trzydzieści kilka, wewnątrznie należycie wyrobiony i zbrojny w sakramentalną łaskę stanu Chrystusowego kapłaństwa, dawał chyba dostateczne upewnienia, że z drogi cnoty lekko-myślnie nie zejdzie. Ks. Iwonowi chodziło przede o coś więcej.

Jeszcze przed laty, czasu pierwszego pobytu w Paryżu, nawiązał ks. Iwo serdeczne stosunki z tamiecznymi Norbertanami z opactwa świętego Wiktora. Bawiąc w tem mieście poraz wtóry, odnowił dawne nawiązki i tak bardzo do bogobojnych mnichów przylgnął, że postanowił wstąpić do ich zakonu, do czego nawet zobowiązał się przysięgą, jak o tem pisał papież Honorjusz III. A chociaż dalszy przebieg wypadków, a następnie rychła śmierć, przeszkodziła dokonania tego postanowienia w zupełności, to jednakowoż spełnił je częściowo, bo do końca życia nosił pod płaszczem norbertańską sukienkę, jako znak zakonnej przynależności.

Nie wiadomo jednak, czy takie postanowienie przedsięwziął wówczas także ks. Jacek. Nie-
wątpliwie jednak w surowym trybie życia nor-
bertańskich mnichów, wstających w nocy na
jutrznię, przyjmujących posiłek tylko dwakroć
dziennie, wyznających głośno wobec z zgro-
madzonej braci swoje przewinienia, a ponadto
oddających się ciężkiej pracy duszpasterskiej,
podał sobie ks. Jacek wielce. Wszak niedługo
potem sam taki tryb życia uprawiać zaczął,
jeno nie w norbertańskim, ale dominikańskim
zakonie. Takie bowiem były wyroki Boże,
kierujące drogami jego życia.

Powołanie do Zakonu św. Dominika

Jednakowoż obaj Odrowążowie bawili razem w Paryżu niedługo; zaszły bowiem wypadki takie, dla których ks. Iwo musiał rychło wracać do kraju. Oto w parę miesięcy po jego wyjeździe biskup Wincenty złożył urząd pasterza krakowskiej owczarni, Stolica Apostolska, książę Leszek, oraz kapituła jednogłośnie wybrali jego następcą ks. Iwona, który owo wysokie urzędowanie obejmował już w r. 1218. Ks. Jacek atoli pozostał prawdopodobnie w Paryżu nadal; musiał bowiem kończyć swoje nauki. Jak długo jednak jeszcze tamże bawił, nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że w początkach 1220 r. był już w Krakowie, albowiem wtedy odbywał z biskupem Iwonem podróż do Rzymu, która stanowiła przełom w jego życiu, a dokonywała się w okolicznościach następujących:

Po śmierci arcybiskupa gnieźnieńskiego Henryka Kietlicza, papież Honorjusz III zamiano-

wał jego następcą Iwona Odrowąża. Posunięcie biskupa Iwona na trudne, oraz odpowiedzialne stanowisko prymasa Polski, było dowodem wielkiego zaufania, jakie Ojciec św. żywił względem jego osoby. Jednakowoż biskup Iwo, znający dobrze stosunki krajowe wiedział, że trudnym obowiązkom arcybiskupa gnieźnieńskiego sprostać nie potrafi i wszystką swoją możliwość, bardzo przydatną owczarni krakowskiej, utraci. Nie chcąc atoli, aby Ojciec św. posądzał go o brak karności, albo jakieś osobiste względy, wybrał się do Rzymu, gdzie sprawę dostatecznie wyjaśnił i pozostanie w Krakowie łatwo sobie wyprosił.

Podróż z Krakowa do Rzymu, trwającą natedy pełnych sześć tygodni, odbywał biskup Iwo w miesiącu styczniu 1220 r. W jego orszaku, czyli tak zwanej „familji“, jak zapisały łacińskie roczniki, znajdowało się wtedy, prócz świeckiego sługi, Hermana Niemca, jeszcze dwóch kapłanów, a mianowicie nieodstępny bratanek Jacek, oraz niejaki Czesław, którego późniejsi pisarze gwoili błędnego rozumienia owego wyrazu: „familia“ za rodzonego brata Jacka uznali, co snadnie przyjąć się mogło jeszcze dlatego, że Czesław tego braterstwa był zupełnie godzien, skoro później w chwale niebieskiej obok Jacka stanął.

Do Rzymu dotarli nasi wędrowcy w miesiącu lutym i stanęli gościna u kardynała Hugolina z Anagni, późniejszego papieża Grzegorza IX, a dawnego kolegi szkolnego biskupa Iwona. Kardynał Hugolin, rad wielce przybycia Iwona, goszcząc hojnie starego druha i jego towarzyszy, zaprosił wszystkich na niezwykłą uroczystość, jaka odbyć się miała w Popielec, przypadający wtedy na dzień 12 lutego, a mianowicie na wprowadzenie nowopowstałego zgromadzenia sióstr Dominikanek do klasztoru św. Sykstusa, czego miał dokonać osobiście sam zakonodawca, głóśny już w świecie, święty Dominik.

Gdy nadszedł zapowiedziany dzień i w kościele św. Sykstusa zaczęli się zbierać kardynałowie, prałaci, oraz zaproszeni goście, nagle do kardynała Stefana Fossenuowy przybiegł posłaniec z wiadomością, że jego siostrzeniec, Napoleon Orsini spadł z konia i leży martwy na ulicy. W kościele powstało nagle wielkie zamieszanie. Kard. Stefan zemdlał. Inni duchowni i świeccy biegali bezradni, nie wiedząc, co czynić. Jeden Dominik zachował zupełny spokój. Wyszedł na ulicę i kazał nieszczęśliwego młodziana wnieść do kościoła i złożyć na stopniach ołtarza, poczem przybrał się w szaty kapłańskie i wyszedł ze Mszą św. Po Mszy św., którą odprawił

z nadzwyczajnem skupieniem i w czasie której miano widzieć, jakoby się unosił w górę, przystąpił świątobliwy sługa Boży do leżącego bez ruchu młodziana i położywszy na nim ręce rzekł jakoby w natchnieniu: „W Imię Jezusa Chrystusa wstań!“ I młodzieniec powstał.

Patrzący na to biskup Iwo, Jacek, Czesław, Herman i wszyscy zgromadzeni w kościele oniemieli. Widzieli bowiem jawny cud i męża, szczególnie przez Boga naznaczonego. Uniesiony widokiem cudu i zachwycony wyrazem wniebowzięcia, jaśniejącego na obliczu cudotwórcy biskup Iwo przystąpił do niego i rzekł: „Chodź z nami do Polski“. A kiedy Dominik odpowiedział, że przódę musi dopełnić swego posłannictwa we własnej ojczyźnie, biskup Iwo prosił znowu: „Tedy użyj Polsce kilku swoich synów jako apostołów“. Natenczas Święty, chcąc zadośćuczynić gorącym pragnieniom Iwona, wskazał na jego towarzyszy, Jacka i Czesława, rzekąc: „Porucz mi tych kapłanów na rok jeden, a po roku wrócą do ciebie apostołami“. Święty przejrzał Świętych.

Zanim biskup zdołał na to odpowiedzieć, Jacek i Czesław klęczeli już u stóp świętego Zakonodawcy, wyrażając tym sposobem swoją gotowość oddania się jego opiece. Uszczęśliwiony takim obrotem rzeczy biskup Iwo, chętnie po-

ruczał Dominikowi obu kapłanów, a zwłaszcza Jacka, wiedząc, że oddaje go do szkoły Świętych. I aczkolwiek zawsze ciężko mu było rozstawać się z umiłowanym bratankiem, to jednakowoż tym razem opuszczał go zupełnie spokojny, słusznie sobie tusząc, że szkoła św. Dominika zaszczerpi w duszy Jackowej nowe cnoty, a gdy po roku Jacek i Czesław powrócą do kraju, przyniosą ze sobą zawiązki nowego zakonu, wielce w polskiej społeczności pożądanych.

Dla naszych „probantów“, a zwłaszcza dla Jacka i Czesława, zachowanie przepisów zakonnych, a szczególnie uprawianie wszelakiego rodzaju umartwień nie było bynajmniej żadną nowością. Dlatego też szybko postępowali w przyswajaniu sobie ducha zakonnego, a po roku próby, czyli tak zwanego „nowicjatu“ dopuszczeni zostali wszyscy czterej do złożenia ślubów. Po złożeniu ślubów w początkach 1221 roku, a zatem jeszcze za życia świętego Dominika, który umarł 5 sierpnia tegoż roku, stanęli gromadką, jako apostołska drużyna, gotowa do pochodu w granice ojczystego kraju, kędy z utęsknieniem oczekiwał wszystkich, a zwłaszcza Jacka, świątobliwy biskup Iwo. Do dzisiaj jeszcze w kościele św. Sabiny w Rzymie, kędy nasi pierwsi Bracia Kazno-

dziejscy brali z rąk św. Dominika zakonne habity, zachował się obraz, przedstawiający ową rzewną chwilę i wiernie oddający duchowy nastrój każdego z braci, a zwłaszcza Jacka. Oto, gdy wszyscy jeszcze leżą krzyżem, jakoby całkiem bierni i zupełnie podani woli przełożonych, a mający powstać dopiero wtedy. kiedy posłyszają słowo rozkazu, Jacek, wykonawszy wszystko, czego domagał się przepis, zrywa się nagle i powstaje z podniesionem czołem, jako człowiek, żyjący nieustannym czynem i mający przewodzić innym. I tak było rzeczywiście. Jacek, najwierniejszy naśladowca św. Dominika, stanawszy na czele polskiej drużyny Braci Kaznodziejskich, przewodniczył im do końca swego pracowitego żywota, którego istotną treścią był żywiołowy czyn, przedsiębrany podjętą wewnętrznych zapalów jakiegoś olbrzyma i daleko odbiegający miary, stosowanej do wątkich ludzkich sił...

Opuściwszy Wieczne Miasto kroczył św. Jacek na czele apostołskiej drużyny ku północnemu Wschodowi. Bracia wędrowali pieszo, z ubogimi węzełkami na plecach i bez grosza przy duszy, żywiąc się tylko użebrany chlebem, bo tak kazały zakonne przepisy. Postępowali wolno, zatrzymując się w każdym osiedlu ludzkim, aby wygłosić słowa Boże i budzić ochotę

do swego zakonu, a gdy taka się znalazła, czyto między mężczyznami, czy też między niewiastami, zatrzymywali się dłużej, celem założenia zgromadzenia i urządzenia klasztoru. Najdawniejszy żywotopisarz św. Jacka, lektor krakowskiego zgromadzenia, brat Stanisław, który w sto trzydzieści lat później pozbierał klasztorne zapiski i na ich podstawie opisał koleje życia Świętego, opowiada o tej wędrownicy Braci Kaznodziejskich w sposób następujący: „Bracia przybyli do niemieckiego miasta Friesach; tutaj słowem i przykładem ucząc lud, założyli pierwsze zgromadzenie i w ciągu sześciu miesięcy przyjęli do zakonu niezliczoną rzeszę kapłanów i kleryków i nauczili ich przepisów zakonnych tak, jak sami je poznali z ust św. Dominika. Pozostawiwszy tam brata Hermana, św. Jacek i św. Czesław udali się do Krakowa.“

I tak postępował zawsze, ilekroć chodziło o podniesienie nowego zgromadzenia. Sam budził tylko pierwsze zapęły, a resztę powierzał swoim towarzyszom, którzy, przejęci jego duchem, spełniali powierzone sobie zadanie dobrze. Równie dobrze wywiązał się ze swego zadania brat Herman, który, lubo nie był kapłanem, jednakowoż wystarczał, aby nowe zgromadzenie wprowadzić w dominikański porządek życia.

Powrót do ojczyzny

Św. Jacek, złożywszy pierwociny swej pracy w Karyntyjskiej mieścinie między Niemcami, podążał dalej naprzód w towarzystwie brata Czesława i brata Hermana Morawianina. Gnany świętym zapalem apostolskim i serdeczną tęsknotą za polską krainą, kierował swoje kroki ku Krakowowi. Którędy atoli prowadziła dalsza droga nie wiadomo. Może Słowacy, a może Morawianie słuchali kazań natchnionego apostoła, który nie zaniedbywał nigdy żadnej sposobności i jako gorliwy siewca słowa Bożego, rzucał ewangeliczne ziarno wszędzie, o czym świadczy długa podróż braci, stających w bramach Krakowa dopiero późną jesienią 1221 r.

Na wieść o zbliżającym się apostołe, bratanku ukochanego biskupa i członku nowopowstałego zakonu poruszyło się całe miasto. Było to prawie w uroczystość Wszystkich Świętych. U bramy sławkowskiej, do której dobiegał gościniec wrocławski, zebrały się wielkie tłu-

my. Był tam książę Leszek ze swoim dworem, był biskup Iwo z orszakiem duchowieństwa, było mieszczaństwo z lasem cechowych chorągwi i ciżba wiejskiego ludu. Czekano na Jacka i jego towarzyszy. Młodego Odrowąża, przybranego w białą siermięgę zakonną i przychodzącego pieszo z żebraczym tłumiokiem na plecach, chciano powitać jak jakiegoś udzielnego księcia. I słusznie. W osobie św. Jacka przybywał do Krakowa rzeczywiście prawdziwy książę, za którym miały nadejść liczne wojska, równie białe przybrane, a zbrojne w krzyże i różańce ku obronie narodowego ducha...

W kaplicy św. Jacka w Krakowie znajduje się stary obraz, przedstawiający przybycie Świętego do stolicy Polski. Na obrazie widać księcia Leszka, klęczącego przed pochylonym nad nim zakonnikiem, który jakoby zaskoczony przepychem niezwykłego przyjęcia, mówi do księcia: „Wszak jestem tylko człowiekiem, a przed człowiekiem klękać nie należy“. „Ja też nie przed tobą klękam — odpowiada książę — jeno przed Bogiem i Jego Matką, których nam przynosisz“, — jakoby przeczuwał, że z przybyciem Jacka, oraz jego braci zakonnej do Polski, pomnoży się życie religijne i wzrośnie cześć Najśw. Marji Panny, co istotnie nastąpiło.

Nie wiadomo jednak, czy owo powitanie doszło do skutku rzeczywiście w bramach miasta, gdzie robiono przygotowania, czy też w kościele św. Trójcy, albo w katedrze, dokąd schronić się musieli wszyscy oczekujący przed straszną ulewą, jaka w chwili zbliżania się Jacka spadła nagle na miasto, o czym wspomina stare podanie przechowywane w krakowskim cechu szewskim. Wedle owego podania, z chwilą zerwania się ulewy, wszyscy zebrani pouciekali, chroniąc się do domów i kościołów. Przy bramie wytrwali tylko szewcy, dzierżący baldachim. Zjawiający się nagle pośród ulewy Święty, dowiedziawszy się o nieudanych przygotowaniach, pochwalił wytrwałych mistrzów szewskiego kunsztu i powiedział: „Nasz cech będzie zawsze najwierniejszy“. I sprawdziły się słowa Jackowe, albowiem od lat siedmiuset cech krakowskich szewców zawsze wiernie dotrzymuje placu i w czasie wszystkich procesji dominikańskich wytrwale nosi baldachim.

Drobny, ale wiele mówiący szczegół, wymownie świadczący, z jakim zapalem witało Jacka miasto Kraków.

Tymczasem biskup Iwo, wielce uszczęśliwiony powrotem Jacka, a zwłaszcza jego przynależnością do zakonu dominikańskiego, na którym budował wiele najlepszych nadziei, począł się

żywo krządać około znalezienia odpowiedniego miejsca na klasztor. Wiedząc, że zakon dominikański, oddający się głównie pracy duszpasterskiej, musi osiąść w ośrodku najwięcej ludnym, postanowił oddać swoim gościom parafjalny kościół św. Trójcy, położony w najludniejszym miejscu wawelskiego podgrodzia. Już samo postanowienie oddania nowoprzybyłym zakonnikom tego właśnie kościoła, który był głównym ośrodkiem życia religijnego Krakowa i którego nie trzeba było dopiero budować, albowiem był już gotowy, wymownie świadczy, jak wysoko sobie biskup Iwo owych zakonników cenił i jak gorąco pragnął rychłego urzędzenia ich stałej siedziby.

Pomimo atoli, że kościół był już gotowy, trzeba było jednak dokonać pewnych przeróbek, oraz wybudować klasztor, co zajęło parę miesięcy czasu.

Szkoła Świętych w Krakowie

Prawie nately, kiedy kończono owe pierwotne budowle i kiedy miały się odbyć uroczyste wprowadziny Braci Kaznodziejskich do nowej siedziby, zjechał do Krakowa wysoki dostojnik rzymski, wysłannik papieża Honorjusza III, kardynał Grzegorz de Crescentiis, objeżdżający Czechy, Morawy, Miśnię, Danję i Polskę. Biskup Iwo, w porozumieniu z Jackiem i jego towarzyszami, postanowił skorzystać z obecności owego dostojnika Kościoła, wielkiego przytem przyjaciela dominikańskiego zakonu i całą uroczystość poświęcenia kościoła, oraz objęcia klasztoru przez naszych Braci naznaczył na dzień św. Grzegorza, patrona kardynała, obchodzony 12 marca, co znowu dowodzi, jak wysoko ważył sobie gorliwy pasterz chwilę objęcia pierwszej w Polsce placówki przez nowy zakon i jego przedstawiciela, Jacka.

Sama uroczystość musiała mieć przebieg wspaśniały i musiała wywołać wielkie zbudowanie wiernych. Dowodzi tego znamieny wypadek.

Oto bratanek kardynała Grzegorza, słynny profesor prawa kanonicznego w rzymskiej uczelni, Jakób de Crescentiis, towarzyszący stryjowi, jako powiernik i rzecznik, wzruszony przebiegiem uroczystości, a zwłaszcza zachowaniem się Jacka, przypadł do jego nóg podobnie, jak to ongiś uczynił Jacek wobec św. Dominika i gorąco począł prosić o przyjęcie do krakowskiego zgromadzenia. Kard. Grzegorz, sam widocznie wielce zbudowany osobą Jacka, obejmującego w nowym klasztorze przełożęństwo, chętnie zezwolił bratankowi na pozostanie w polskim zgromadzeniu Dominikanów, mających takiego świątobliwego przewodnika. Wychowany w szkole św. Jacka Jakób, był wzorowym zakonnikiem i oddał później polskim Dominikanom i polskiemu Kościołowi wielkie usługi, czego dowodem jest list Grzegorza IX, pisany w dziesięć lat potem, w którym to liście papież powierza Jakubowi sprawę biskupstwa na Rusi.

Podobnie jak Jakób, budowali się Jackiem wszyscy, którzy weszli z nim w jakąkolwiek styczność, a najwięcej zbudowania brali z jego osoby oczywiście ci, którzy byli najbliżej niego i którzy tego zbudowania szukali. Takimi byli ci, którzy za przykładem owego włoskiego przybysza porzucali świat i pragnąc swoje

życie poświęcić Bogu, garnęli się do krakowskiego klasztoru pod opiekuńcze skrzydła świątobliwego przeora. A ponieważ sława świętości przeora rozchodziło się coraz szerzej, przeto i liczba napływających rosła coraz więcej i w niedługim czasie skromny rozmiarami klasztor wypełnił się po brzegi.

W podwawelskim grodzie pojaśniało od białych siermiąg dominikańskich i szybko nadchodziła chwila, której wychowankowie Jackowi „jako pszczoły w wielkiej się liczbie rojące i jako ptacy po wszystkim świecie miód słodkiej nauki w uściech noszący rozlatać się mieli“, jak później pisał ks. Piotr Skarga w żywocie Świętego. Oto bowiem z krakowskiego „wyroju“ powstają już w roku następnym, czyli 1224 nowe zgromadzenia w Kamieniu pomorskim i w Sandomierzu, roku 1225 we Wrocławiu, 1227 w Gdańsku, a następnie w Kijowie, Chełmnie, Bolesławiu, Opolu, Raciborzu, Świdnicy, Głogowie, Oleśnicy i Oświęcimiu, licząc tylko takie, które do życia powoływał jeszcze sam św. Jacek i których ilość, razem ze zgromadzeniami, powstałymi po jego śmierci w granicach dawnej Rzeczypospolitej pod koniec XVIII w. dosięgła liczby dwustu dziewięciu zgromadzeń męskich i czternastu zgromadzeń panieńskich.

Dawni żywotopisarze podają nadto, że w uroczystości poświęcenia krakowskiego klasztoru, brały udział dwie najbliższe sercu Jacka istoty, pani Iwonja i pani Bożenna, z których pierwsza była jego babką, a druga matką. Obie niewiasty, przywiedzione do Krakowa serdeczną tęsknotą za ukochanym wnukiem i synem, zamieszkały w domu, położonym naprzeciw klasztoru, a zwanym „domem Odrowążów“.

I te właśnie panie, Iwonja i Bożenna, wstąpiwszy do III-go Zakonu św. Dominika, dały początek żeńskim zgromadzeniom dominikańskim w Polsce, których pierwszym klasztorem była ich siedziba, czyli „dom Odrowążów“. Za przykładem obu bogobojnych niewiast bowiem poszły wkrótce niewiasty inne, zarówno szlachcianki, jakoteż mieszcзки, panny i wdowy, które wiedzione pragnieniem świątobliwego życia, a pobudzone natchnionem słowem św. Jacka, opuszczały swoje środowiska i przenosiły się do domu „Siostr pokuty“*), jak wówczas nazywano siostry trzeciego zakonu dominikańskiego.

*) Zgromadzenie to o prostych ślubach dotrwało do 1621 roku, w którym to roku przeniosło się z „domu Odrowąż“ na „Gródek“ i przeobraziwszy się równocześnie na „zakon drugi“.

Zbyteczne dodawać, że duch świątobliwości między „Siostrami pokuty“ najwyżej kwitnął wtedy, gdy pośród nich przebywały jeszcze obie czcigodne niewiasty, Iwonja i Bożenna i gdy do „domu Odrowążów“ dolatywał jeszcze żywy głos św. Jacka. Świętość bowiem najłatwiej udziela się bezpośrednio. Dowodzi tego mnogi zastęp Świętych, błogosławionych i świątobliwych, otaczających osobę Jacka, gdzie oprócz bł. Czesława, stoją jeszcze bł. Sadok z czterdziestu ośmiu towarzyszami, umęczonymi roku 1260 w Sandomierzu przez dzikich Tatarów. Obok nich wybija się czcigodna postać pierwszego biskupa Litwy i wernego towarzysza apostolskich podróży św. Jacka, i wychowanka krakowskiego klasztoru, bł. Wita, u którego grobu, położonego obok grobu Jackowego działy się liczne cuda, a którego tylko gwoli późniejszego niedbalstwa nie wyniesiono na ołtarze.

Do takich zapomnianych „Świętych“ należą także trzej młodzieńcy, równie cudami tamże słynący i równie wychowankowie Jackowi, Wiesław, Władysław i Waclaw. W krakowskiej szkole św. Jacka uświęcał swoją duszę równie „błogosławionym“ nazywany, niejaki Sanktes, który doznawszy od Jacka łaski cudownego wskrzeszenia syna, razem ze synem do zakonu

wstąpił. Do tego błogosławionego grona należy także dawny towarzysz św. Jacka, a wychowanek św. Dominika, Herman Morawianin, słynący świętością na Śląsku i zmarły w Opolu 1245 r.

Najwięcej jednak między tymi Świętymi jest takich, którzy wyszedłszy ze szkoły św. Jacka, podążali później w jego apostołskie ślady i kierowali swoje kroki na Wschód, gdzie ginęli albo z rąk dzikich Tatarów, albo też zaciekłych w nienawiści dla rzymskiego Kościoła czarnogrodzkich odszczepieńców. Do takich męczenników należy bł. Adrian, jeszcze r. 1240 razem ze sześciu braćmi w Haliczu zamordowany; bł. Urban, podobnie z dwunastu towarzyszami r. 1245 umęczony; dalej bł. Stanisław, ginący z całym zgromadzeniem w Czerwonogrodzie, bł. Wojciech, bł. Damjan i tam dalej i dalej, aż do liczby czterystu czterdziestu czterech osób, jak wykazują dawne roczniki dominikańskie.

Pierwsze klasztory

Gwoli takiej mnogości męczenników, ginących głównie na wschodnich rubieżach dawnej Rzeczypospolitej, kędy św. Jacek złożył najwięcej apostolskiego trudu, papież Inocenty IV, rządzący Kościołem jeszcze za życia naszego Świętego, nadał polskim Dominikanom niezwykły przywilej, a mianowicie prawo noszenia czerwonych kapeluszy, płaszczy, pasów i trzewików takich, jakie noszą kardynałowie. Św. Jacek jednak, aczkolwiek pełen uczuć za takie wysokie odznaczenie jego zgromadzenia, osobiście tego stroju nie przywdział nigdy, albowiem nie pozwalały mu na to pokora. Naśladujący swego duchowego ojca późniejsi Dominikanie, równie gwoli pokory prędko owych strojów zaniechali; zatrzymali jednak czerwone pasy, jako odznaki ciągłej gotowości przelania krwi za świętą sprawę.

Czerwony pas i biała suknia odpowiada jednak także polskim barwom państwowym, do których zakonna drużyna Jackowa mogła mieć równie

wszelkie uprawnienia. Jaśniejący bowiem bielą i czerwienią Dominikanie byli jakoby przednią strażą apostołującej Polski, której dziejowem posłannictwem była obrona kresów wschodnich przed zalewem mongolskiego pogaństwa i moskiewskiego odszczepieństwa, oraz obrona kresów zachodnich przed równie groźnym zalewem niemieckiego luterstwa. Dominikańskie klasztory, rozsiane gęsto wzdłuż granic dawnej Rzeczypospolitej były przez długie wieki prawdziwemi twierdzami, w których chroniły się wiara i polskość i które przetrwały niejedną twierdzę, zbrojną w działa, oraz orężne załogi.

Do wytyczania ośrodków pod owe strażnice przystąpił św. Jacek niebawem, skoro tylko ukończył prace około zaszczepiania dominikańskiej latorośli na krakowskim gruncie, a mianowicie r. 1224. Przybrawszy sobie kilku towarzyszy z pośród krakowskiego zgromadzenia w osobach braci: Czesława, Hermana, Florjana, Gaudyna i Benedykta, ruszył naprzód. Dokąd atoli skierował najpierw swoje kroki orzec trudno, albowiem jego ścieżki tak się krzyżują, a jego apostołska gorliwość tak szybko go nosi, że trudno dociec początku i końca rzeczy. Jedynym wskaźnikiem może być tutaj następstwo czasu w powstaniu poszczególnych klasztorów,

które swój początek mają zawdzięczać Jackowi, osobiście przy ich podnoszeniu działającemu.

Prawdopodobnie tedy skierował się naprzód do Sandomierza, a to gwoli osobliwemu życzeniu biskupa Iwona, który oddał tamże Jackowemu zgromadzeniu kościół św. Jakóba, zbudowany przez księżniczkę Adelajdę, córkę Kazimierza Sprawiedliwego. Korzystając z gotowego kościoła, oraz hojnego uposażenia, danego przez czcigodnego stryja na budowę klasztoru, zajął się św. Jacek w Sandomierzu utworzeniem duchowych podwalin pod nowe zgromadzenie, czyli rozbudzeniem pośród miejscowego żywiołu ducha zakonnego powołania, a resztę zostawił braciom, jak zwyczajnie później uczynił.

Podniesione Jackowym zapalem zgromadzenie sandomierskie, w trzydzieści sześć lat później, okryło się wielką chwałą męczeństwa w osobach bł. Sadoka i jego towarzyszy, ginących pośród pienia maryjnej pieśni kościelnej „Salve Regina“, śpiewanej odtąd w całej Polsce przy pogrzebach, czego nigdzie indziej poza Polską niema. Dzięki takim przekazaniom klasztor sandomierski chlubnie spełniał swoje zadania przez długie wieki i dotrwał do roku 1854, w którym podzielił smutny los niemal wszystkich klasztorów rosyjskiego zaboru, ulegając grabieży własności i rozproszeniu braci.

Ze Sandomierza zawrócił św. Jacek znowu na zachód i jeszcze tego samego roku zjawił się w swoich rodzinnych stronach na śląskiej ziemi. Przeszedłszy Bytom, kędy była dawna granica Polski, usiadł przy drodze, wiodącej do Rozbarku, gdzie — jak głosi stare podanie wytrysnęło źródółko — i naradzając się z towarzyszami, dokąd mają dalej podążać, postanowił, że ruszyli wszyscy do Wrocławia. Przybywszy na miejsce, zabrał się bezzwłocznie do dzieła i korzystając znowu z hojności biskupa Wawrzyńca, ofiarującego jego zakonowi kościół św. Wojciecha, opuszczony przez Augustjanów, osadził przy nim bł. Czesława, jako pierwszego przeora przyszłego zgromadzenia, a sam podążył dalej. Błog. Czesław, wyzyskując skwapliwie zapaly, wzniecone natchnioną wymową Jacka, wywiązał się ze swojego zadania chlubnie, albowiem wrocławskie zgromadzenie było jednym z najcelniejszych i przetrwawszy rozmaite burze, rozproszyło się dopiero roku 1810, kiedy je ograbili i wygnali z miasta Prusacy.

W dalszym pochodzie zawrócił św. Jacek następnie do Cieszyna, gdzie podobnie, jak w Sandomierzu i Wrocławiu znalazł kościół, opuszczony przez Benedyktynów, przesiedlonych do Orłowej i tutaj utworzył znowu zgromadzenie. Cieszyńskie zgromadzenie Dominikanów, oto-

czone wielkiem zaufaniem dawnych książąt Piastowskich, którzy jego opiece powierzali swoje śmiertelne szczątki, chowane w podziemiach kościoła, trwało wiernie na swojej placówce aż do czasu zniesienia przez Józefa II, czyli do roku 1786.

Założenie klasztorów we Wrocławiu i Cieszynie miało miejsce r. 1225. Następny klasztor, podniesiony przez św. Jacka, powstał w Gdańsku r. 1227. Nastąpiła przeto dwuletnia przerwa w działalności Świętego. Takie przerwy zdarzały się jednak później często. Św. Jacek bowiem, rzucający zazwyczaj tylko pierwsze podwaliny, a resztę pracy około tworzenia nowych zgromadzeń, zostawiający braciom, chwilę podnoszenia następnego klasztoru czynił zawsze zależną od ukończenia apostolskiej pracy pośród ludności danej okolicy.

Zapewne tedy, ruszając z Cieszyna roku 1225 doszedł do Gdańska dopiero roku 1227. Tę długą, dwuletnią podróż, zajęło mu apostołowanie pośród ludności Śląska, Małopolski i całego porzeczka Wisły, najgęściej nately zaludnionego. Apostolską wędrówkę Jacka, ludnym szlakiem Wisły, upamiętniły różne cudy, a między niemi cudowne przejście Wisły pod Wyszogrodem. Oto, — jak głosi podanie, — podszedłszy pod miasto z brzegu przeciwnego, zastał Święty

Wisłę, skutkiem śniegowych roztopów, tak bardzo wezbraną, że żaden z najśmielszych przewoźników nie ważył się puszczać na jej burzliwe nurty. Widząc drogę do miasta zagrodzoną, pada św. Jacek na kolana i po chwilowej modlitwie, jak opowiadali sobie później Wyszogrodzianie, ruszył naprzód i stąpając po falach rzeki, jak ongiś Pan Jezus stapał po falach morza, doszedł szczęśliwie do drugiego brzegu. Wiadomo jednak, że za Panem Jezusem poszedł także św. Piotr, który atoli zaczął tonać, albowiem nie miał dostatecznej wiary. Towarzysze Jackowi, więcej jeszcze od Piotra wiarą słabsi, nie poszli za nim. Wówczas Jacek, powróciwszy do nich, rozpostarł na wodzie płaszcz i ująwszy za połę, która wydeła się jak żagiel, uczynił z niego „most Jezusa Chrystusa“, jak sam powiadał i na tym płaszczu, jakoby na łodzi przewiózł lękliwych towarzyszy na drugą stronę wezbranej Wisły.

Na północnych rubieżach

Idąc dalej ku północy, stapał św. Jacek starą, apostołską ścieżką, wydeptaną ongiś jeszcze stopami świętych męczenników Wojciecha i Brunona, a wytyczoną wskazaniami króla Bolesława Chrobrego. Marzeniem tego wielkiego władcy, budowniczego mocarstwowej Polski, było stworzenie silnej placówki na bałtyckich rubieżach kraju, celem niesienia światła wiary pogańskim Prusom i Litwinom. Świadom wielkiej doniosłości nieziszczonych marzeń Bolesława, św. Jacek skierował swoje kroki ku Gdańskowi.

Gdańsk, miasto ongiś szczeropolskie, oderwało się od państwowej jedności z Macierzą po śmierci Bolesława Krzywoustego. Czasu przybycia św. Jacka do tego miasta rządy nad Gdańskiem i okolicą sprawował książę Świętopełk II, który przyjął Świętego i jego towarzyszy z otwartymi rękoma, oddając im na własność kościół św. Mikołaja. Stary i niewielki kościółek, istniejący od czasów zaprowadzenia

w Gdańsku chrześcijaństwa, był szczególnie nawiedzany przez rybaków i żeglarzy. Św. Jacek, korzystając z cennej darowizny księcia, oraz hojności mieszczan, zbudował obok kościoła duży klasztor, w którego zabudowania włączono stojącą tamże kaplicę św. Urszuli.

Pełen najdalej idących zamysłów zebrał następnie gromadkę gdańskich ochotników, których oblókł w białe suknie św. Dominika, i zapaliwszy w ich sercach święty ogień zakonnego życia, oddał ich w opiekę br. Benedykta, pierwszego przeora gdańskiego zgromadzenia. Nowo założone zgromadzenie, natchnione gorliwością św. Jacka, rosło tak szybko, że wkrótce liczyło około dwustu braci i było największem zgromadzeniem dominikańskiem w Polsce, zasila-jącym swoimi wychowankami wszystkie oko-liczne klasztory.

Gdańskie zgromadzenie, osadzone szczęśliwą ręką św. Jacka, rosło jednak nie tylko zewnątrz-nie, ale także wewnątrznie, czego dowodem jest drobny z pozoru, ale wiele mówiący szczegół, a mianowicie słynne jarmarki gdańskie, odby-wane od połowy XIII wieku w dniu 4 sierpnia, czyli w uroczystość św. Dominika, obchodzoną w zakonie wielkim „odpustem“. Gdańscy Do-minikanie bowiem ściągali na swoje odpusty

mnogie tysiące wiernych, napływających z całej okolicy i wszechświatowego kupiectwa.

Zdarzyło się atoli, że właśnie w odpust św. Dominika r. 1308, kiedy dawnym zwyczajem nagromadziło się mnóstwo ludzi, napadli podstępnie miasto Krzyżacy i wymordowawszy dziesięć tysięcy luda, zawładnęli Gdańskiem na długo, bo aż do 1454 roku.

Ucisk polskiego żywiołu w zagrabionem mieście odczuli przede wszystkim Dominikanie; srodze prześladowani jeszcze dlatego, że jako apostołowie Prusów, działający prawdziwie w duchu Chrystusowym, odsłaniali zdradzieckie szyki obłudnych Krzyżaków, apostołujących krwawo mieczem i gwałtem, bynajmniej nie dla Chrystusa, jeno dla siebie. Wierna atoli służbie, w jakiej postawił ją św. Jacek, gdańska drużyna dominikańska trwała mimo niemieckiego ucisku niewzruszona i w dwu wieki później przetrwała jeszcze większą burzę, jaką rozpętali znowu luteranie.

Godni następcy przewrotnych Krzyżaków, gdańscy luteranie, rzucili się roku 1525 pod wodzą niejakiego Pawła Kerla na rabunek katolickich kościołów, częścią gwoli przerobienia ich na swoje zbory, które sami bardzo rzadko wogóle budowali, a częścią gwoli obłowienia się kościel-

nem mieniem, jako zwyczajnie w takich wypadkach bywa. Chcąc zasię do syta zadowolić swoją niemiecko-luterańską zaciekłość, rzucili się na kościół św. Mikołaja i wywlekli zeń ciało pierwszego przeora, wspomnianego br. Benedykta, i najohydniej je zbezczęściwszy, rzucili do rzeki Mołtawy.

Mimo atoli dzikich napaści i ciągłego prześladowania, gdańscy Dominikanie, pomni wskazań św. Jacka, nie ustępowali. Tymczasem jednak miasto niemczało coraz więcej i wreszcie przyszło do tego, że polscy Dominikanie musieli prawić niemieckie kazania w kaplicy św. Urszuli, stojącej w obrębie klasztoru, co spełniali zresztą pilnie, wiedząc, że pracują dla Chrystusa. Polski kapłan bowiem nigdy żadnemu cudzoziemcowi nie odmówi swojej posługi, a w miarę możliwości nawet jego językiem przemówi. Tak bowiem czynić kazał Chrystus.

Pełni prawomyślności, wierni swemu apostołskiemu posłannictwu, gdańscy Dominikanie, mimo powtarzających się nieustannie napaści i grabieży ze strony leturanów i różnego żołdactwa, grasującego w mieście czasu licznych wojen, przetrwali jednak na swojej placówce aż do roku 1840. Wytrzymawszy wszystkie burze

i przewroty, nie zdołali jednak zdzierżyć gwałtowi Prusaków, którzy zawładnąwszy ostatecznie miastem, zaczęli gruntownie tępić resztki wszystkiego, co było polskie i katolickie. Na pierwszy ogień poszli wtedy Dominikanie. Odebrano im kościół i klasztor, a samych z miasta wygnano.

Niedaleko Kościoła Braci, znajdowała się ongiś także kaplica, oraz dwa domy Sióstr Trzeciego Zakonu, podzielonych na zgromadzenie panien i zgromadzenie wdów, które prowadziły szkoły, zarówno dla dziewcząt polskich, jakoteż niemieckich. Mimo tej działalności, społecznie bardzo doniosłej, a w niewieścim świecie owych czasów bardzo jeszcze rzadkiej, gdańskich Dominikanek nie oszczędziła owa pierwsza luterńska burza, która tak gwałtownie uderzyła w zgromadzenie Braci. Niewinne Siostry, wygnane ze swoich domostw, rozprószyły się po świecie, osiadając w różnych zgromadzeniach zakonnych.

Jeszcze za pobytu św. Jacka, miasto Gdańsk, jako apostolska placówka dominikańska, promieniowało jednak jeszcze szerzej, dosięgając swojemi wpływami północnych krain bałtyckich. Oto dominikańskie roczniki zapisały, że św. Jacek wyprawił w Gdańsku jednego ze swoich

wychowanków do dalekiej Szwecji. Owym wysłannikiem był brat Jan, syn szlachecki, pieczętujący się znakiem „Pelikana“. Brat Jan, spełniając polecenie Świętego, założył w miejscowości Sigtun zgromadzenie dominikańskie, w którym, jak piszą roczniki, „wielu ludzi zacnych, świat opuściwszy, poświęciło się służbie Bożej“ i w którym Jan zajaśniał taką doskonałością, że „gdy się sława cnót jego rozeszła na Alboeńskie biskupstwo, a następnie Upsaleńskie arcybiskupstwo posunięty został“. A kiedy r. 1291 umarł w Anagni, dokąd w sprawach Kościoła do bawiącego tamże papieża Mikołaja IV jeździł, „ciało jego z Francji do Szwecji sprowadzono i w klasztorze Sigtuńskim ze czcią złożono, nie bez cudów, które Bóg względem zasług jego uczynił.“

I tak przez brata Jana, zaszczyconego godnością arcypasterza, a przez lud szwedzki „świętym“ nazwanego, działalność św. Jacka dosięgła najdalszych krańców północy, ówczesnego świata chrześcijańskiego. Dbając atoli o dobro obcych, jeszcze więcej jednak starał się Jacek o dobro swoich, stawiając dalej klasztory i zakładając dominikańskie zgromadzenia w północnych dzielnicach kraju, a mianowicie w Kamieniu pomorskim, w Chełmnie, w Płocku, Bolesławiu, Toruniu, Królewcu i t. d.

Temi klasztorami obwarowywał granice zasięgu pogańskich Prusów, czyniąc podobnie, jak czynili Krzyżacy, wznoszący tamże swoje warownie, równie przeciw poganom wymierzone. Między Jackowemi klasztorami a krzyżackimi warowniami była jednakowoż różnica taka, że Jackowe klasztory niosły pogańskim ludom światło i żywot, a krzyżackie warownie śmierć i zagładę. Jawnym dowodem tego zestawienia jest dalsza działalność Jackowa, dotycząca północnych zagonów Polski, a mianowicie jego działalność apostołska na Litwie.

Na Litwie i Rusi

Czasu pracy na Pomorzu, dochodziły Świętego wieści, że duchowieństwo niemieckie, mające swoją siedzibę w Rydze i przeznaczone do nawracania pogańskich Litwinów, nie spełnia należycie swojego zadania, a zakon krzyżacki, postępuje z Litwinami podobnie, jak postępował z Prusami, których, w imię zagłady pogaństwa, niszczył i mordował. Na Litwie panował nately kniaź Mendog, człek zarówno światły, jakoteż przebiegły, ale żyjący w pogaństwie. Pragnąc koniecznie pozbyć się uciążliwej opieki i krwawego apostołstwa Krzyżaków, a równocześnie utrzymać w swoich rękach rządy kraju i przychylność niechętnego chrześcijaństwu ludu, zaczął Mendog podstępnie rozgłaszać, że przyjmie wiarę chrześcijańską, skoro papież przyśle mu królewską koronę. Gwoli temu ochotnie przyjął św. Jacka, o którego osobie niewątpliwie wiele słyszał.

Św. Jacek, nie zważając na podstępne zamierzenia Mendoga, skwapliwie skorzystał z jego

gościnności i gorliwie zabrał się do pracy. Osiadłszy w Trokach, kędy natedy była stolica państwa, skierował św. apostoł wszystkie swoje wysiłki ku stworzeniu tamże osobnego biskupstwa, obsługiwanego przez duchowieństwo polskie.

Owocem długich zabiegów św. Jacka, sięgającego niewątpliwie wszędzie, gdziekolwiek można było cośkolwiek uzyskać, było wreszcie przeznaczenie na pierwszego biskupa Litwy jego wychowanka i towarzysza apostołskich wędrówek, brata Wita, wyświęconego przez gnieźnieńskiego arcybiskupa Pełkę roku 1253. Bp. Wit, członek krakowskiego zgromadzenia, zapewne razem z Jackiem przybyły na Litwę, i do chwili swego wyniesienia tam pracujący, doskonały znawca miejscowych stosunków i mąceń krzyżackich, które później opisał, natchniony apostołskimi zapalami Jacka, zabrał się gorliwie do pracy.

Świadectwem gorliwości bpa Wita, oddającego się całą duszą świętej sprawie apostołstwa, może być owa wielka zaciekłość, jaka przeciw niemu niedługo po objęciu rządów biskupich wybuchła. Oto, jak zapisały stare roczniki, „zaciętego serca poganie, napadli na bpa Wita, który srodze pobity, z biskupstwa i Litwy wygnany, wrócił do Krakowa, gdzie zapowie-

córki, ślepej od urodzenia, a uzdrowionej przez św. Jacka, który zyskiwał sobie coraz więcej wzięcia, albowiem znowu jakaś bogobojna niewiasta złożyła na jego ręce sutą ofiarę, za którą mógł łatwo przeprowadzić stosowne przebudowy w dawnym klasztorze, dla pomieszczenia swego zgromadzenia, zebranego przeważnie z nawróconych popów.

Rzuciwszy podwaliny pod przyszłą placówkę dominikańską w Kijowie, zostawił św. Jacek dalsze prowadzenie rzeczy braciom, a sam podążył do Krakowa, skąd doszły go wieści o śmierci ukochanego stryja bpa Iwona, zmarłego we Włoszech, którego zwłoki miano sprowadzić do kraju. Bracia wywiązali się z powierzonego sobie zadania dobrze. Dominikańskie zgromadzenie rosło. Zasilali je głównie nawróceni popi, którzy zdejmowali swoje czarne „rjasy“ a przywdziewali białe habity. Zaniepokoiło to jednak duchownego władkę Cyryla, który wymógł na słabym kniaziu Włodzimierz, że tenże Dominikanów z Kijowa wygnał. Wgnani bracia poszli oczywiście szukać swojego wodza, Jacka, który przyrzekał, że do Kijowa jeszcze powróci. Okazało się jednak, że wracać nie było można długo, albowiem bezpośrednio potem wynikły na Rusi zamieszki i Kijów przechodził ciągle z rąk do rąk.

Św. Jacek, przykładający wiele wagi do kijowskiej placówki, musiał czekać sposobnej chwili. Nie mitrężył jednak czasu na próżnem oczekiwaniu. Równocześnie bowiem gorliwie apostołował, zakładając nowe zgromadzenia w Przemyślu, Lwowie i Haliczu, które miały być tem, czem są dla idącego naprzód wojska zostawiane w tyle zbrojne załogi. Tymczasem nadeszła sposobna pora powrotu. Jacek ze swoją drużyną wkroczył znowu do Kijowa i na „Padole“ zatętniło nowe życie. Krótka jednak była radość braci i ludu. Oto bowiem pod koniec 1240 r. podeszły pod Kijów przednie straże Tatarów. Klasztor Dominikanów wystawiony był na pierwszy ogień.

Wedle starego podania św. Jacek, odprawiający właśnie nately Najśw. Ofiarę, spokojnie dokończył nabożeństwa, a kiedy pierwsze natahy tatarskie zjawiły się u wrót kościelnych, ujął Najśw. Sakrament, aby go unieść w miejsce bezpieczne. Wówczas posłyszał z ołtarza głos: „Synu Jacku, a mnie zostawujesz?“ Wzruszony tą skargą, dobywającą się z posagu Najśw. Marji Panny, trzymając w jednej ręce eucharystycznego Jezusa, drugą ręką ujął postać Jego Matki i z obu świętościami szczęśliwie uszedł do Halicza.

Śmierć Świętego

Straszna nawała tatarska przewaliła się wówczas przez całą Polskę, docierając aż do Wrocławia. Niemal wszystkie klasztory Jackowe legły w gruzach. Trzeba tedy było zaczynać pracę na nowo. Święty ruszył więc znowu na apostolską wędrówkę, przebiegając wszystkie dzielnice kraju. I tak, noszony świętym zapalem apostolskim, obiegał znowu Śląsk, Małopolskę, Ruś i Litwę przez lat kilkanaście. Tymczasem nadszedł wieczór jego życia. Przeżywszy swoich pierwszych towarzyszy, błog. Czesława, Hermana Morawczyka i Hermana Niemca, osiągnął św. Jacek wiek lat siedm-dziecięciu czterech. Czując, że niemoc owłada jego strudzone członki, ruszył ku Krakowu. Wiadomość o przybyciu św. Jacka do Krakowa, kędy przyszedł umierać, rozbiegła się lotem błyskawicy po wszystkich zgromadzeniach. Zewsząd ściągać zaczęli bracia, aby pożegnać swojego czcigodnego patriarchę. Najskwapliwiej zaś się śpieszyli jego najdawniejsi towarzysze, jeszcze żyjący, Benedykt, Godyn i Florjan,

którym zapowiedział, że umierał będzie w uroczystość Wniebowzięcia Najśw. Marji Panny, to jest dnia 15 sierpnia 1257 r. Skoro tedy nadszedł dzień zapowiedziany, Jacek, wsparty na ramionach braci Gaudyna i Florjana, zeszedł do kościoła, kędy się spowiadał, brał św. namaszczenia, Mszy św. słuchał i Ciało Pańskie z rąk brata Benedykta przyjmował, ciągle stojąc, albowiem spracowanych kolan ugiąć nie zdołał.

Odpocząwszy nieco, popołudniu zeszedł znowu z braćmi do kościoła na nieszporne pacierze. Wsparty ciągle na ramionach dawnych towarzyszy, powtarzał za innymi słowa psalmów i modlitw, ciągle stojąc. Pod koniec pacierzy, nagle wyprężył się cały, czoło podniósł do góry i patrząc w niebo, począł mówić podniesionym głosem słowa końcowego psalmu nieszpornego: „W Tobiem Panie nadzieję pokładał, niechaj nie będę zawstydzon na wieki. Nakłoń ku mnie ucha Twojego i pośpiesz się, abyś mię wyrwał. Bądź mi Bogiem obrońcą, abyś mię zbawił, albowiem mocą moją i ucieczką moją jesteś.“ (Ps. 70.)

Pod sam koniec pacierzy wyniósł się jeszcze wyżej i stojąc, jak olbrzym, który czołem do sięga nieba, wypowiedział jeszcze ostatnie słowa pacierzy: „Teraz wypuszczasz Panie sługę

Swego w pokoju“, (Łuk. 2, 29), poczem nagle umilkł, osunął się z ramion braci i legł utrudzony na posadzce, aby więcej nie powstać...

Legło spocząć spracowane ciało, a duszę powiedli do Boga aniołowie, których prowadził św. Stanisław, na co patrzeli w cudownem widzeniu bp. Prędota, oraz błog. Bronisława, która widziała nadto jeszcze Matkę Bożą, wiodącą Jacka za rękę po drodze, z promieni słonecznych uścielonej i ku przybytkom Jezusa biegnącej...

Obumarłe ciało wielkiego wodza, który umierał, jak prawdziwy rycerz Chrystusowy, złożyli bracia w bocznej kaplicy, dokąd zaraz napływać zaczęły tłumy ludu, wypraszającego sobie liczne łaski i cudy. Mimo atoli mnożących się cudów, oraz ogólnego przekonania, że Jacek był istotnie Świętym, kościelne „ubłogosławienie“ Świętego poszło w długą odwłokę. Ówczesnym ludziom wystarczało bowiem, że mogli wypraszać sobie cudy i mogli swobodnie nazywać Jacka „świętym“.

Właściwe starania o kościelne podniesienie Jacka do rzędu Świętych Pańskich, zaczęły się dopiero r. 1518, kiedy król Zygmunt Stary prosił o to Stolicę Apostolską, a papież Leon X kazał przeprowadzić przepisowe dochodzenie

sprawy. Samego atoli ogłoszenia Jacka „Świątym“ dokonał dopiero papież Klemens VIII r. 1594, gwoli czemu w Krakowie obchodzono wielkie uroczystości, których ośrodkiem było wystawienie głowy Świętego, zamkniętej w drogocennym relikwiarzu, wykonanym własnoręcznie przez króla Zygmunta III.

Cześć św. Jacka zasłynęła odtąd szeroko w świecie, a zwłaszcza we Francji, Hiszpanji i Włoszech, gdzie ją roznieśli głównie duchowi współbracia Świętego, czczący Jacka prawie na równi ze swoim patriarchą Dominikiem. Najgoręcej atoli czciła zawsze św. Jacka Polska, a zwłaszcza Śląsk, dumny ze swojego najlepszego Syna. Najżywotniejsza zaś pamięć Świętego zachowała się w najbliższej okolicy Kamienia, którego późniejsi dziedzice, hrab. Strachwitze, czyli dawni Strasze, wywodzący się z rodziny kamienieckich Odrowążów, komnatkę zamczyska, kędy Jacek ujrzał światło dzienne, przemienili na kaplicę, a najstarszego syna nazywali zawsze Jackiem, a córkę Bronisławą.

Niemniejsza atoli pamięć zachowała się pośród okolicznego ludu. Kamienieccy chłopci po dziś dzień nazywają polne głązy „perłami świętego Jacka“ i mówią, jakoby pochodzić miały z jego rozsutego różańca, a cała ziemia opolska od

czasów niepamiętnych za największą uroczystość doroczną uważała sobie wielkie procesje, idące z dominikańskiego kościoła w Opolu do Kamienia w dniu Jackowego święta, każdego 17 sierpnia, co jednakowoż z chwilą zniesienia opolskiego klasztoru na pewien czas ustało. Skoro atoli ucichła burza t. zw. „kulturkampfu“ lud śląski począł znowu coraz liczniej uczęszczać na kamienieckie odpusty Jackowe. I może znowu nastaną czasy, że owe odpusty wrócą do dawnej świetności, co najłatwiej stanie się wtedy, gdy owe „perły“, przemienione w różańce, znajdą się w ręku każdego Ślązaka, a cały lud śląski poczuje się żywo bratem Świętego i pośród swoich synów i córek wychowa mnogą rzeszę Jacków i Bronisław, nie tylko z imienia, ale także z czynu.



Spis rozdziałów

	Str.
Śląsk święty	5
Pochodzenie i młodość Jacka Odrowąża	11
Zagraniczne wykształcenie i kapłaństwo Jacka	15
Powołanie do Zakonu św. Dominika	22
Powrót do Ojczyzny	29
Szkoła Świętych w Krakowie	33
Pierwsze klasztory	39
Na północnych rubieżach	45
Na Litwie i Rusi	52
Śmierć Świętego	58

Polecamy:

Życiorysy Bohaterów Czynu Nr. I

Bogdan Jański

Apostoł tułaczy

Cena zł 0,60

„Życiorysy Bohaterów Czynu” to wzory postaci, co gardzili biernością i gminnością, a żyli czynem ustawicznego zmagania się w walce o zwycięstwo idei Bożej w swej własnej duszy i duszy swych bliźnich. Są to postacie o ludzkim obliczu, co walczą, nieraz nawet łamią się wśród tragicznych wstrząsów duszy, ale zwyciężają. Przekonywują się bowiem powoli lub też dość szybko, że tylko czynem zrodzonym z myśli Bożej można siebie i innych udoskonalić. Bohaterów czynu potrzeba dziś światu, głodnemu prawdy Bożej i pokoju Bożego. — Oto jeden z tych wzorów.

Nakład

*Księgarni i Drukarni Katolickiej Sp. Akc.
Katowice, ulica Marszałka Piłsudskiego 58*

135282

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000562073



I 135282

dublet

Księgarnia i Drukarnia Katolicka S. A.
Katowice, ul. Marsz. Piłsudskiego 58